Rozmaitości

Dnia 11. marca **Ner. 10.** 1831 roku.

Starożytności egipskie.

Owoce wyprawy francuzkiéj w przedmiotach chronologii i historyi.

Wyprawa naukowa pod Champollionem obiecuje, jeźli nie bardzo wielkie i nowe światło rzucić na dawną noc Egiptu, to przynajmniéj wiele ważnych szczegółów wyjaśnić. Z rysunków nagromadzonych zyskamy może właściwą Ikonografiją władców Egiptu, która zawsze ważną będzie, mimo miéjsc brakujących i wielu niedokładności. Bardzo uderzające na rysunkach tych są rozmaite rasy królów; i tak królowie etyjopscy, jak n. p. Saraka, mają zupełne rysy twarzy Murzynów; inni znowu tak odstraszające mają oblicza, że widać, iż artyście nie wolno było piękniejszémi je zrobić. Ale Egipcyjanie wcale innym sposobem pochlebiać umieli: miasto robienia ludzi podobnymi do bogów, dawali bogom rysy twarzy królów; i tak wszystkie bożyszcza w świątyni przez Merysa i Sezostrysa wystawionéj, mają twarze tych monarchów.

Jak wiadomo, dopiéro z dynastyją ośmnastą królów zaczynają się cokolwiek dzieje egipskie rozświetlać, to jest około r. 1822 przed naszą rachubą. Napad ludu barbarzyńskiego, znanego pod nazwiskiem pastérzy, jak obłok nieprzebyty oddziela tę dynastyją od poprzedniczych; a rzeczą jest pewną, że właśnie pod tą dynastyją zbudowano piramidy w Memfis, tudzież wiele innych grobów wyższego i niższego Egiptu, na których wprawdzie ponapisywane są nazwy królów z dynastyj dawniéjszych jak ośmnasta, ale nié ma żadnego tychże wyobrażenia. Lecz przeciwnie obrazy wszystkich siedmnastu królów dynastyi ośmnastéj, ich żon i dzieci, zebrano.— Ośmnasta dynastyja jest ze wszystkich najważniéjszą, tak dla historyi, jak dla sztuki. Założycielem jéj jest Amenotf, który królów pastérskich wypędził i krajowi niepodległość powrócił. Najsławniéjsi królowie dynastyi téj są: Amenotf III., od Greków Memnonem nazwany; Orus, właściwie Meneftą zwany; synem jego był Rhamses wielki. Tego Champollion ma za owego sławnego Sezostrysa, lubo pomniki nie ze wszystkiém zgadzają się ze zdaniem jego. Do faraonów téj dynastyi, Menefta, Rhamzesa wielkiego, Rhamzesa — Majamuna i niektórych innych ściągają się owe wielkie płaskorzeźby historyczne Ibsambulu w Nubii i Tebach, świadczące o mnogich zdobyciach tych królów w Azyi, w Afryce, a nawet w Europie, to jest w Grecyi. Europa zdziwi się do jakiego stopnia doskonałości doszła w owych czasach sztuka rysownicza.

Z dynastyi następnéj także aż do trzydziestéj drugiéj i trzeciéj, będącéj dynastyją Lagidów czyli Ptolomeuszów, zebrano wiele bardzo obrazów i napisów; ostatnie to po części potwierdzają w ogólności, co nam już z chronologii Manetosa wiadomo; tu i ówdzie zapełniają przerwy. Znaleziono mianowicie napis i obraz zało-

)(

życiela dwudziestéj drugiéj dynastyi, znanego Sezuchisa, Sezaksa biblii. Część pałacu w Karnab dostarcza o nim wiele ważnych szczegółów, zgadzających się zupełnie z podaniami pisma świętego. Między innémi przychodzi rząd hieroglifów, gdzie mowa jest o królestwie Juda i gdzie wyrażone są zdobyte warownie, zgadzające się z podaniami rozdziału jedénastego drugiéj księgi kroniki i z podaniami rozdziału czternastego księgi drugiéj królów.

Co się tycze Lagidów czyli Ptolomeuszów, nazwy ich obficie znajdują się na pomnikach, a porządek ich następstwa tronu dziejami się potwierdza. Tylko napisu Alexandra wielkiego nie można dokładnie oznaczyć; napis z nazwą Alexandra raczéj do syna zdobywcy tego należéć się zdaje. Z resztą nazwiska wszystkich Ptolomeuszów i żon znajdują się aż do Ptolomeusza Cezara, zwanego Cezaryjonem. Ale co do wyobrażeń właśnie przy téj dynastyi najwięcéj w niepewności jesteśmy. Sztuka rycia obrazów już wtedy tak bardzo była podupadła, że artystom z trudnością przychodziło naturę naśladować; z tądto pochodzi, że rozmaite obrazy téjże saméj osoby nie są do siebie podobne; do tego twarze na obrazach nie są podobne twarzom na monetach; i tak profil sławnéj Kleopatry wcale inny jest na monetach, a inny na pomnikach; to samo stosuje się także do Beremiki i do Arsynoe.

Uważáć oraz należy, że wszystkie od Ptolomeuszów pochodzące budowy, których w Nubii od Filoe aż do Dakke pełno, są to tylko naprawiane, albo raczéj odbudowane świątynie królów dawnych, zniszczone przez Persów; są one zaszczytném świadectwem, ile starań królowie ci łożyli do uzyskania przychylności ludu. Że w saméj istocie tak było, jest to po części widoczne z gruzów dawnych świątyń, użytych do budowy nowych, po części z hieroglificznych albo greckich napisów na kościołach. Cesarze rzymscy poszli za tym przykładem, nazwy ich znajdują się od Augusta aż do Karakalli i Gety, ale nié ma ich wyobrażeń. Do peryjody rzymskiéj należą rozmaite budowy i restauracyje, n. p. naprawa świątyni w Denderah, łuk Arsynoe i wiele innego. W zupełnym z resztą rzędzie cesarzów brakuje tylko Witeliusza, Pertynaksa i Albina.

Te więc są główne chronologiczne rezultaty wyprawy; wykrywają nam prawdziwe stanowisko wielu wypadków, uczą następstwa królów i wiele innego, co dotąd w ciemności ukryte było. Ale nie tylko napisy na świątyniach i pałacach dostarczyły téj naukowéj zdobyczy; także w grobach osób prywatnych przychodzą często napisy n. p. urzędników, służących pod dwóma lub trzema następującymi po sobie władzcami, a to przyczynia się wiele do sprawdzenia podań, na świątyniach i grobach królów.

Przeglądając owoce zebrane do dziejów politycznych, ani ilość ich, ani ważność nie odpowiada zupełnie oczekiwaniom uczonego Europejczyka. Zwycięztwa trzech albo cztérech sławnych zdobywców, Rhamzesa wielkiego, ojca jego Rhamzesa-Majamuna, wyryte są w ich grobach na płaskorzeźbach, gdzie oraz czytać można nazwy pokonanych ludów i krajów zdobytych. Bez wątpienia są to ważne pomniki do dziejów i jeografii starożytnych, ale mniéj bacząc i na to, że za mało ich jest w stosunku tak długiego rzędu wieków, wyobrażenia te w przedstawieniu tak są do siebie podobne, że poniewolnie wpadamy na domysł, czy dzieła pierwszego nie były wzorem do przedstawienia dzieł drugiego, trzeciego i t. d. Zawsze widać ten sam rydwan wojenny, te same ozdoby, te same rumaki i pióra na hełmach; król zawsze w jednéj postawie, jednakowo siedzi na koniu, jednakowo trzyma szyję i głowę; jednym sposobem rozstawione wojsko i nawet tryumfy odbywają się jednakowo. Król wszędzie na tym samym siedzi tronie, otoczony tymi samymi oficerami, pod opieką tych samych, zawsze jednakowo ubranych, bóstw; z resztą pisarze jednym zawsze sposobem i z jednakowémi szczegółami spisują ilość poległych. Zupełne to podobieństwo wyobrażenia te tak do siebie podobnémi czyni, że wiele cierpi na tém rozrywka i baczność widza.

Champollion jednakowość tę nazywa stylem monumentalnym; takowa zasługiwała raczéj na nazwisko mechanizmu rzemieślniczego i ubóstwa w wynalazku; bo zwróciwszy uwagę na kolosy i te masy cudotworcze, zajmujące wyobraźność w najwyższym stopniu, przekonamy się, że te formy architektoniczne, są może trojakiego, lub czworakiego rodzaju, które się wiecznie powtarzają.

O jednym jeszcze szczególe wspomnieć należy, którego powodu nie widzimy dokładnie i który wcale nie zgadza się z historyją. Na wszystkich pomnikach przez Ptolomeuszów odnowionych widać te same wyobrażenia, jak król w postawie wojennéj zawsze tę samę rotę nieprzyjacioł lewą ręką za włosy porywa, a prawą wznosi maczugę do góry. Daléj aż do znudzenia widać zawsze jednakowego króla, niosącego w lewéj ręce łuk naprężony i kołczan napełniony strzałami. Wyobrażenia te mogły być stosowne względem Ptolomeusza Ewergetesa, jedynego zdobywcy téj dynastyi; ale pojąć nie można, dla czego znachodzimy je na pomnikach najspokojniéjszych, prawie bezczynnych Ptolomeuszów; zarys ten pochlebstwa każe nam poniekąd wątpić nawet o dziełach tych królów, których słusznie w postawie wojowniczéj wyobrażono.

Piérwsza miłość i piérwsze upicie się.

(Dokończenie.)

Huczna muzyka zabrzmiała z pobocznego salonu i zagrano pięknego polaka, ulubiony taniec naszych ojców. Wuj mój, napojony grzecznością wieku, który przeżył, bal z Zosią rozpoczął. Z jakąż zazdrością śledziłem tę niebiańską dziewicę, która z gracyją niewymowną przesuwała się koło jego boku. O słup oparty poglądałem na nię pałającémi oczyma. Wuj był nienasycony, może ze sześć razy okrążył z nią salon. Oczy Zosi radością płonęły, wuj długo z nią coś mówił po cichu, zapewne o mnie, potém pocałował ją w rękę i zakończył polonesa. Krótka przerwa nastąpiła w muzyce, nareszcie zagrano mazura, a ja już byłem obok Zosi i zamówiłem ją do tańca.

Czémże jest wszelka rozkosz, wszelka przyjemność świata, porównana z mazurem, z mazurem tańcowanym z Zosią! Człowiek nie powinien zazdrościć ptakom latania, człowiek szczęśliwszy, on tańczy. Rozkoszna muzyka wznosi ducha i nogi, zapominamy o troskach życia, wszelkie nieprzyjemności bytu ziemskiego nikną w morzu najsłodszéj harmonii, w sferze czarodziéjskiéj taktu upływa ubłogosławione ciało, młodzian nic nie widzi, tylko oczy swojego bóstwa, czuję zachwycający oddech ulubionéj i z nią razem wspólnym szałem dotknięty, wzbija się w strefy błogiéj krainy szczęścia.— O nieba! dla czegoż człowiek całe życie tańczyć nie może, byłby najszczęśliwszym ze stworzeń!

Godziny upływały jak wzburzone nurty rzéki, jedna drugą przechodząc w rozkoszy. Zachwycony używałem w najwyższym stopniu rozrywek wieczora, bo Zosia wyszczególniła mię od wszystkich tańcérzy i mężczyzn, wyjąwszy wuja z którym bardzo poufałą była. Czyniła to z tego powodu zapewne, że ojciec jéj dzierżawił dobra wuja, a może i dla mnie cokolwiek. I to do mojego szczęścia przyczyniało się niepomału, że los tą razą nie nękał mię żadnym z owych gorszących przypadków, które w innym czasie, na każdym balu, w każdém towarzystwie, prześladowały mię tak dalece, że z tego powodu nigdy bez pewnego wstrętu do sali balowéj nie wchodziłem. Należałem bowiem do licznéj klasy niezręcznych. Długie ręce i nogi każdy ruch mój tak kolosalnym czyniły, że przez nie często znajdowałem się w niemiłem otarciu się z przedmiotami blizko mnie będącémi. Ale, jak powiedziałem, dzisiaj był prawdziwy dzień szczęścia dla mnie. Nie nadeptałem żadnéj sukni, żadnemu służącemu nie wytrąciłem tacy ze szklankami, (nawet ani jednéj nie stłukłem), nie zaczepiłem się guzikiem o żadną damską kokardę, a nawet, co było podziwem dla mnie, żadnéj figury w tańcu nie zmyliłem. Sam zadziwiałem

)(2

się nad sobą i byłem tak śmiały, żem umyślnie wystawiał się kilkakrotnie na niebezpieczeństwo, ale tą razą zawsze zwycięzcą byłem. I tak n. p. przez wszystkie koła niosłem pewnéj panience szklankę limonady, któréj żądała. Szczęśliwie doszedłem do celu i z największą gracyją podałem szklankę. To nadzwyczajnie dobre znajdowanie się moje w towarzystwie pomnażało śmiałość we mnie, i z Zosią, mając jéj wachlarz na guziku od fraka, który do schowania mi dała, bujałem po odmętach muzyki, jak sylf po promieniach księżyca.

Tym czasem północ nadeszła, a z nią nastąpiła wielka przerwa w tańcach. Dano wieczerzą. Wuj mnie i Zosią przy jednym stole posadził, przy którym i sam usiadł. Był wesół i w humorze bardzo dobrym. W mojém widoczném zalecaniu się do Zosi zdawał się mieć upodobanie i gdy przy stole scisnąłem go za rękę, dziękując mu z cicha za rozkosz, jaką mi dobrocią swoją sprawił, nader przyjaźnie pogłaskał mię po twarzy i nazwał walnym chłopakiem. Wieczerza była wyborną. Przy stołach, przez kilka pokoi rozstawionych, siedzieli goście, których hojnie uraczała gościnność staropolska gospodarza, blask mnóstwa świc, wonia najwykwintniejszych win i potraw, brzęk talerzów i szklanek i ów szmer powszechnéj rozmowy, dający się słyszéć po przebrzmiałéj muzyce, wszystko to tworzyło właściwy żywioł, w którym się rozkosznie przebywało. Stół podeszłych ludzi, dla których tylko stoliki kartowe na jadalne zmieniono, co do wybuchów wesołości rywalizował z towarzystwem młodszych. Wuj między mną i Zosią siedzący, obojgu nam naléwał pilnie i do picia zachęcał. Co się mnie tyczyło, niepotrzebnie używał napomnień, bo byłem bardzo posłuszny. Im dłużéj patrzyłem się w wesołe oczy Zosi, tém lepiéj smakowało mi wino, tém więcéj podobały mi się przyjemne jéj żarty i wino wydawało mi się tém lepszém. Wyraźnie nauczyłem się poznawać, jak jedno drugie wyjaśnia i uzupełnia, to jest: żart i wino. Żart albowiem nie jest niczém więcéj jak tylko winem umysłowém, a wino niczém inném, jak tylko umysłową igraszką i żartem, z rozkoszną, twórczą siłą natury. Wuj, któremu tę wzniosłą myśl wynurzyłem, niewymownie pochwalił ją i na nowo napełniając mi kielich, rzekł: »Pij więc ten żart natury, ale uważaj, ażeby żart ten *serio* się nie skończył. »Wypiłem niezrozumiawszy nawet właściwie, co chciał przez to powiedzieć. Obrócił się potém do Zosi i rzekł: »No Zosiu, jak ci się podoba mój siostrzan, nie prawda że walny? »I mówił długo jeszcze o tém, że najlepiéj jest młodego człowieka zaraz w świat wprowadzić, tym tylko sposobem pozbędzie się szkolnéj nieśmiałości i nie będzie śmiészną figurą w towarzystwie. Bo jestto nie raz bardzo pocieszną rzeczą, widziéć młodego człowieka, który szkoły pokończył, wié jak krzesło nazywa się po grecku i po łacinie, a nie umié na niém siedziéć po polsku. Nic nudniéjszego, jak pedantyzm, człowiek powinien iść za skłonnością serca swojego, a serce nigdy jeszcze pedantem nie było. Dla tego kobiety prędzéj i łatwiéj pojmują dążność towarzystwa, że się trzymają serca, téj nieomylnéj w życiu ludzkiém skazówki.

Wuj w tym sposobie byłby dłużéj jeszcze perorował, lecz głośny wykrzyk wiwatu z pobocznego pokoju i uderzenie o szklanki, przerwało mowę jego. Na nasz stół także wniesiono ciemną, smołą oblaną butelkę, którą wuj wziął do ręki, okiem znawcy przepatrzył pieczęć i z wielką zręcznością korek trybuszonem wyciągnął. W mgnieniu oka i jak gdyby za uderzeniem rószczki czarodziéjskiéj, stanęły na stole naszym długie, wązkie kielichy, do których wuj nalał pieniącéj się białawéj masy. Był to szampan. Wychowany skromnie w domu ojca jeszcze tego napoju nie znałem i prawdę wyznać muszę, nie bywałem także w takich towarzystwach, gdzieby go pijano. Gdy wszystkie kielichy ponalewano, wuj wziął swój do ręki, powstał, wzniósł go do góry i zawołał: »Zdrowie Zosi!«

»Zdrowie panny Zofii!« wraz z innémi powtórzyłem, wychylając miłe perełki. Rozkosz dotąd nigdy jeszcze niedoznana przejęła całą istotę moję, która po drugim

kielichu do znacznego wzniosła się stopnia. Tymczasem gwar co raz większy powstawał między gośćmi, wszyscy prawie przybyli do nas i zdawało mi się, że całe towarzystwo zeszło się do naszego pokoju. Wuj powtórnie ujął kielich i zawołał: »Zdrowie mojego siostrzeńca!« Zosia wyrzekła z rzadką przyjemnością: »Zdrowie pana Wacława!« — »Zdrowie pana Wacława!« powtórzyli wszyscy. Nie wiedziałem prawdziwie, jakem przyszedł do tego honoru. Ale o honor nie troskałem się wcale! Zosia piła moje zdrowie, szczęście to zachwycało mię i w obliczu całego towarzystwa kilkakrotnie całowałem ją w rękę. Gdy uciekła, uchylając się przed mojemi zbyt natarczywémi umizgami, by na niéj się pomścić, miałem ochotę uścisnąć piérwszą lepszą panienkę, któraby mi się była nawinęła. Ledwie wuj wstrzymał mię w zapale. W tém powtórnie zabrzmiała muzyka, zagrano galopadę, uczułem chęć rzucenia się w wir tańca i omal że przez omyłkę, miasto Zosi nie chwyciłem jéj matki. Nareszcie wuj sam mi dziewczynę przyprowadził, poczciwiec wyraźnie chciał nas, jak się zdawało, zbliżyć ku sobie. Wmieszałem się z Zosią w grono tańczących, z uczuciami daleko odmiennémi od owych, które mię na początku balu zajmowały. Obracałem się nie tylko ja z Zosią i nasi współtanecznicy, ale cała sala obracała się z nami, jéj zwierciadła, kandelabry i girlandy z kwiatów, nawet spokojni widzowie obracali się, wuj, posesorowa, orkiestra, zgoła wszystko. Tu ostatnia twórzliwość uleciała ode mnie, w wyrazach zapałem tchnących przemawiałem do Zosi, a w takichże samych wyrazach zdawała się odpowiadać mi. Los mój rozstrzygniony został: kochałem i byłem kochany — a to wszystko było dziełem dnia jednego — jednego balu.

Wniesiono zdrowie dam, wypiłem go duszkiem myśląc o Zosi; za jéj zdrowie byłbym truciznę wypił. Ale niestety! goście już się porozjeżdżali i Zosia poszła, tajemnie ścisnąwszy mi rękę. Zostałem sam jeden z wujem, przezeń do pokoju sypialnego zaprowadzony. I gdy spokojnie palił tytoń, ja w głośnych wyrazach uniesienia rozpływałem się nad rozkoszami balu wiejskiego, a mianowicie nad wdziękami i przyjemnością Zosi. Prozaiczny wuj słabo potakiwał poezyjnym uniesieniom moim, niekiedy tylko uśmiéchnął się szydliwie, a wytrząsłszy fajkę i zupełnie rozebrany położywszy się do łóżka, rzekł gasząc swicę: »Dobra noc Wacławie! Wyspij się, boś się upił!« O co za zimny, prozaiczny wuj!

Zgorszony oziębłością wuja rozebrałem sią także i rzuciłem się do łóżka. Długo zasnąć nie mogłem, przechodząc myślą wszystkie sceny balu. Nareszcie zasnąłem i tłum dziwnych marzeń w rozmaitych postaciach przelatywał przez moję wyobraźnią. Zdawało mi się, że znowu jestem na balu i znowu z Zosią tańcuję. W galopadzie dotknąłem się jéj różanych usteczek i nie wzbroniła całuska. Muzyka co raz prędzéj grała, co raz prędzéj obracały się około nas postącie i my z niémi, nareszcie wszystko w jednym wirze powszechnego zamieszania zniknęło. Z téj sceny w inną stronę przeniosło mię marzenie, zdawało mi się, że ślub biorę z Zosią i gdy kziądz miał już na wieki nasze ręce połączyć, jakiś olbrzym przesunął się przed ołtarz i porwał mi oblubienicę. Pędzę za nim, chcę mu ją odebrać, a w tém — »Wacławie! dokądże spać będzież?« zawołał głos wuja. Zcrwałem się ze snu, przetarłem oczy i ujrzałem słońce zaglądające w okna i duży ogień na kominie. Wuj zupełnie już ubrany stał przed mojém łóżkiem i pokazywał mi zegarek. »Co to za spioch z ciebie, już jedénasta« rzekł. »Dawno wstałem i już byłem przy gospodarstwie. Czekamy na ciebie ze śniadaniem.«

Piorunem zerwałem się z łóżka. Właśnie gdym się ubiérał, rzekł wuj: »Jak uważam dobrze wyglądasz i nic ci wczorajszy wieczór nie zaszkodził. Tylko ubiéraj się prędko, ja pójdę na przód.« Odszedł; w pięciu minutach gotów byłem, pocałowałem kawałek wstążki, którą po wczorajszym balu miałem od Zosi w zdobyczy i włożyłem ją do fraka, poczém udałem

się do jadalnego pokoju, trochę zgorszony długiem mojém spaniem.

Koło stołu siedzieli oboje posesorstwo i Zosia w przyjemnym negliżu porannym. Wuj trzymał ją za rękę i oboje patrzyli na siebie sposobem szczególniéjszym, którego pojąć nie mógłem.— »A! przecie raz przyszedłeś!« zawołał wuj i gdy po przywitaniu zbliżyłem się do stołu, powstał i uścisnął mię. »Panie siostrzeńcze« rzekł, posłuchaj mię, mam ci coś ważnego odkryć. Wiadomo ci, że cała familija nazywa mię nieczynnym człowiekiem, dziwakiem. To prawda, żem za młodu żadnych zatrudnień nie szukał, ale gospodarz czyliż nie ma zatrudnień przy swéj roli! Z resztą podróżowałem i używałem świata, ile okoliczności pozwoliły. Jestem spokojnym sąsiadem, staram się każdemu wedle możności mojéj przysługę jakąś wyświadczyć i jak musiałeś uważać wczoraj, nie jestem nienawidzony. Lecz przyznam ci się, nie zawsze można mieć towarzystwo przy sobie, a samotność, która mimo zatrudnień wiejskich często mię otacza, już mię nudzić zaczyna. Skoczyłem więc do głowy po rozum i sądzę, że tego nigdy za poźno się nie czyni. Są drzewka, które zaraz w piérwszych latach swojego wzrostu, jeszcze jako krzewy, już kwiat i owoc wydają, i są znowu takie, które poźno, po wielu latach dopiéro, lubo już grube są i cień dają, okrywają się kwieciem. Takie drzewo widzisz przed sobą siostrzeńcze. Miłość, to słońce życia, nie dawno dopiéro, dwóma cudnie pięknemi oczkami zaglądnęła mi do serca. »(Zosia z zarumienieniem wprawdzie, ale czule oraz pojrzała tu na niego.) A zatem kochany siostrzeńcze,« mówił dalej »żenię się, a ty w Zosi ciotkę dostaniesz. Za ośm dni wesele, na które cię zapraszam!«

Poczém uściskał mię, kilka razy ucałował i pobiegł do Zosi, ścisnąć ją także z zapałem prawdziwie młodzieńczym. Nie broniła się wcale.

Byłem jak piorunem rażony i z podziwienia zaledwo do siebie przyjść mogłem. Całkiem inne nadzieje napełniały dotąd serce moje, którym grzeczność wuja i przyjaźność Zosi zdawały się potakiwać. Stałem jak wryty i lubo otwarte miałem oczy, nic prawie nie widziałem. Zawiedziony w oczekiwaniu najrozkoszniéjszem, ze złości szarpałem potajemnie wstążkę, pamiątkę mojéj przyszłéj ciotuni.

Tym czasem wuj przyprowadził oblubienicę swoję do mnie i kazał mi pocałować ją w rękę. »Nie żenuj się« mówił z przyjaznym uśmiéchem »wszakżeto nie raz piérwszy. Wczoraj daleko śmielszy byłeś.«

»Daruj mi panie Wacławie, żem go wydała z sekretu« śmiejąc się powiedziała Zosia.— Gadzina.

Sam we własnych oczach moich byłem śmiészny. Żarty wuja, przyjaźność rodziców Zosi, nawet jéj saméj przymilenia, nie mogły oddalić ode mnie złego humoru, który mię napadł po tak nieszczęśliwéj katastrofie, mojéj piérwszéj, a z początku tyle obiecującéj, miłości. Wierzże tu teraz dziewczętom, pomyślałem sobie, ściskała mi rękę, pozwoliła nawet pocałować się, a jednak już była zaręczoną, zaręczoną z człowiekiem, który mógłby moim być ojcem.

On nie płakał, nie jęczał,
Tylko trzosem zabrzęczał;

powtórzyłem z ironiją wiérsz Mićkiewicza, upraszając wuja, ażeby mię jak najprędzéj do domu odesłał, tłómacząc mój pośpiech powodem nauk. Dawno już powróciłem do stolicy, a jeszcze nie mogłem zapomnieć ani o téj piérwszéj mojéj miłości, ani o tém, żem się tak zawiódł na widocznie okazywanych mi względach dziewczyny. Nigdy jéj tego nie zapomniałem, choć już ciotką moją została i na złość na jéj weselu nie byłem.

Historyja naturalna jeża.

Temu zwierzęciu powodzi się jak niejednemu z ludzi, którego prześladują, bo go nie znają. Może wyłożywszy pożytek, jaki nam przynosi, zdołam odwrócić od tego nieboraka niebezpieczeństwa na przyszłość mu grożące. Od dawna wiedziałem, że wytępia myszy, żaby i węże; lecz chciałem

doświadczyć, czy jego zawziętość rozciąga się także i na jadowite tegoż rodzaju płazy; w tém więc celu 24. sierpnia z. r. zamknąłem jeża w wielkiéj skrzyni, w któréj, we dwa dni potém, udarował mię czworgiem młodych jeżąt. Żywe myszy, żaby, jaszczurki któremi go żywiłem, żarłocznie pożérał.

D. 30go sierpnia, podczas gdy karmił swoje pisklęta, wpuściłem do niego wielką żmiję. — Podniósł się i kilka kolców puścił na jéj głowę.— To przyjęcie we wściekłość ją wprawiło, poczęła syczéć i ukąsiła go gwałtownie w mordę. Jeż nic nie bacząc na to, nie ustępował z miéjsca, lecz lizał zadane sobie rany, a gdy w tym celu język wystawił, gadzina zajadle weń go ukąsiła.— Jeż w odwet wypuścił na nię kilkanaście kolców, a upatrzywszy porę, chwycił ją szybko za łeb, zgruchotał go, a resztę, z całym zapasem jadu, pożarł z największém upodobaniem. Wieczór tego samego dnia zjadł znowu młodą tegoż rodzaju godzinę, a nazajutrz trzy onychże. W jego ranach, nawet w tych, które w język był otrzymał, nie dał się spostrzédz najmniéjszy ślad spuchnienia lub zapalenia. — Był zupełnie zdrowym równie jak jego szczenięta.

Prawdę mego opowiadania mogą wiele osób, przytomnych téj potyczce, zaświadczyć.— Spodziewam się, że ci którzy dotąd prześladowali to zwierzę, zaniechają tego tym prędzéj, że szkody, które na upadłych z drzew owocach wyrządza, nie mogą iść w porównanie z pożytkami, które nam przynosi, wytępiając jadowite gady, żaby, myszy i t. p.

---

*Kaznodzieja ryb u Huronów.**)

Przy każdéj chacie rybackiéj znajduje się kaznodzieja ryb**), którego zatrudnieniem jest rybom kazać***) Ludzie tacy, jeźli są zręczni, bardzo poszukiwani bywają, albowiem Huronowie są tego mniemania, że namowa i napomnienie zręcznego człowieka wiele się przyczyniają do przywabienia ryb w sieci. Ten, o którym tu mowa, był jednym z najzawołańszych kaznodziejów ryb, któremu nic oprzéć się nie mogło, a zabawną rzeczą było widziéć go, jak każąc wyrzucał rękoma, co zwyczajnie każdego wieczora działo się. Za tema brał następujące wyrazy: ażeby Huron ani skrzel, ani kości rybich nie palił i ażeby z rybami nie obchodził się po tyrańsku. Poczém do ryb jak najczuléj przemawiał, zachęcał, błagał je, by przybywały. »Należy tylko nabrać odwagi« rzekł »idzie tu bowiem o to jedynie; ażebyście Huronom przyjaciołom waszym przysługę z mięsa waszego wyświadczyły, a oni za to kości waszych palić nie będą.«

W saméj istocie szczegół ten jest ważnym dodatkiem do dziejów wymowy i użytku, jaki z niéj często czynią.

*) Z Gabriela Sagarda: *Histoire de Canada Liv. II. chap. 3.* (z wieku 17.)
**) *Prédicateur de poisson.*
***) *Precher.*

WIADOMOSCI ROZMAITE.

— Ze Lwowa. —

Przeszkody nieprzewidziane i brak prenumeratorów wstrzymały dotąd wydanie romansu historycznego: Bitwa pod Stubnem, mającego zacząc szereg Nowych powieści historycznych Stanisława Jaszowskiego. Przeszkody te usunione zostały i dzieło zapowiedziane niezawodnie wydane będzie. Czas pewny wyjścia jego oznacza się na tegoroczne kontrakty, do którego oraz czasu uprasza się szanownych kollektorów, by znajdujące się u nich bilety, lubo nie sprzedane, autorowi do Lwowa (pod N. 9. na szérokiej ulicy) odesłać raczyli, gdyż po wyjściu dzieła takowe nie będą ważne a cena dzieła znacznie podwyższona zostanie.

— Z Przemyskiego. —

Słówko o żywym płocie.

Artykuł umieszczony w 4. Nrze Rozmaitośc o żywym płócie, znajdującym s~ w Drochobyczy u p. Schenka, którego ma być 150 sażni i zachęcenie sprawiedliwe jp. dr. Zawadzkiego do nasladowania tego przykładu, dały mi powód i myśl wymierzenia żywych płotów, znajdujących się w mojém sąsiedztwie, w Zarzeczu w cyrkule przemyskim, które się już od 10ciu lat tam robią w dwóch gatunkach, jako uznane za najlepsze: z głogu (*Crataegus oxyacantha*) i jałowcu (*Juniperus communis*) rosnących dziko w naszych lasach i w wielu innszych miejscach i okolicach. Głogowych żywych płotów jest w Zarzyczu 1073 sążni, a jałowcowych 930 sążn ogółem 2003 sążni, które zapewne w krotce dojdą do 5000 sążni i może więcej, bo te co rok przymnażają się:

niektóre dawniéjsze już są piękne i dobrze zagęszczone szczególniej jałowcowe. Przyłączam przepis robienia tych, zasadzony na doświadczeniu i pewnie lepszy, jak znajdujące się w wielu innych pismach nam znajomych przepisy.

Piérwsza główna zasada jest, aby gatunków krzewów nie mieszać, tylko każdy płot z jednego gatunku robić. Głóg i jałowiec dla tego uważany za najlepszy do tego użytku, że nie wyrasta w wielkie drzewa, że ma kolce, że wytrzymuje tęgie mrozy, a nakoniec że się nie rozrzuca z korzenia w poboczne grządki i pola, jak wiele innych gatunków.

Powtóre. Wybiérać należy młode flance w lesie, dobrze wykopane, żeby korzeni nie uszkodzić.

Po trzecie. Ziemia, w którą się sadzą, ma być na 2 1/2 łokcia głębokości a 2 lub pół trzecia szerokości regulowana czyli przekopana, rozesławszy na spód gnój, a daléj napełniwszy ten rów dobrą ziemią, dodawszy tylko w małéj części glinki z rowu wyjętéj, i to pod wierzchem bo korzeń tak głogowy jak jałowcowy potrzebuje dobréj ziemi do łatwego przyjęcia się i rozkrzewienia.

Po czwarte. Nie sadzić gęściéj jak na 3/4 łokcia jeden flanc od drugiego, jeżeli się w dwa rzędy sadzi, więc pół łokcia luk 3/4 oddali się jeden rząd od drugiego i sadzi się w drugim rzędzie na przemianę tak, aby zawsze jeden flanc wypadł między dwa w piérwszym rzędzie posadzone.

Głóg się sadzi na wiosnę i w jesieni, wcześnie, nim liście spadną, wyrzuca się wyschłe flance z żywych płotów i podsadza się pilnie, co rok, bo poźniéj młode flance między starémi z trudnością się przyjmują. Jałowiec najlepiej na wiosnę sadzić; ale można przez całe lato podsadzać, wyrzucając zupełnie wyschłe, bo te, co tylko zażółkną, często się odnawiają same. Jałowiec wykopując nie trzeba ziemi od korzeni otrząsać i jak najwięcéj przy tych zostawiać.

Do utrzymania żywych płotów w dobrym stanie następujące uwagi i staranie są konieczne potrzebne:

Obkopanie przynajmniéj raz przez lato, tak jak się robi w innych plantacyjach z brzegu z obu stron tak dla przepuszczenia wilgoci do korzeni, jak dla oczyszczenia z chwastów.

Ocbędożenie z suchych gałęzi i obcinanie choć raz przez lato, tak jak dawniéj że szpalerami się obchodzono, z okrągła od góry nie płasko, dla przymnożenia drobnych gałęzi, które żywe płoty co raz lepiéj zagęszczają; nie wypuszczać wyżéj jak na dwa łokcie żeby lepiéj w szerz się rozkrzewiały i od dołu, i widoków nie zasłaniały.

Ostrzega się jeszcze, że kto chce mieć trwałe i dobrze utrzymane żywe płoty, trzeba się ściśle trzymać wzwyż wyrzeczonego przepisu, nic nie opuszczając, inaczéj po kilku latach giną tak, jak się już w wielu miéjscach stało; przekona się pewnie każdy, że praca w wykonaniu stokrotnie się wynagrodzi przez trwałość i oszczędzenie roboty w ustawicznem grodzeniu, pospolicie u nas używanem.

Należy jeszcze dodać, że tak głóg, jak jałowiec lepiéj się udaje na suchym gruncie, jak na wilgotnym, w ostatnim więc razie trzeba, przekopując ziemię na żywy płot, dodać nieco piasku; te rowy na żywe płoty można przez całe lato robić i kiedy tylko na to jest sposobność, bo na samo wysadzenie krzewów nie wiele czasu potrzeba.

— Z Ziemi Siedmiogrodzkiéj. —

W dziwny sposob obchodzili poddani pewnego miéjsca w Ziemi Siedmiogrodzkiéj imieniny swego dziedzica. Zamek jego zbudowany jest na wysokiéj górze, u stóp któréj rozciąga się bardzo rozległa przestrzeń. Na téj, zwłaszcza iż była śniegiem pokryta, żebrali się w nocy poddani, i pracując kilka godzin, przez odgartywanie śniegu aż do dna, które było zieloną trawką porosłe, utworzyli pięć liter, każdę wielkości 40 sążni. Nazajutrz, gdy pan tylko wstawszy, przy blasku rannego słońca wyjrzał z okna, ujrzał bardzo pięknie na białém tle obijające się w zielonych literach słowo: Wiwat, które było echem serc jego wszystkich, przychylnych mu poddanych.

— Z Tureczczyzny. —

Nikt bardziéj nie ceni piękności i białości ręki, nad tureckie damy i bogatych muzułmanów, ale o głównym środku utrzymania téj białości i piękności, o rękawiczkach i wiedzieć tam nikt nie chce. Sam nawet Sultan Machmud, ni jeżdząc, ni przy ćwiczeniach wojskowych, nie używa tychże. Dla czego rękawiczek nie używają, trudno jest wywieść. Koran ich bynajmniéj nie zakazuje, bo za czasów Mahomeda żaden jeszcze rękawicznik nieprzybywał na jarmarki.

Najprzyjemniéjsze kawiarnie na wschodzie są w Damaszku. Najprzód znaleźć tu można najlepszych opowiadaczy, co tam miéjsce teatru i koncertów zastępuje. Potém znajduje się w każdéj przepyszny wodoskok, wypuszczający wodę do siedmiu stóp wysokości, a siedzącemu na miękkich wezgłowiach w jego poblizkości, ożywnego dodaje chłodu, i staje się przeto najpożądańszym przyjacielem śród spiéki tamtejszéj. W dwóch innych stolicach wschodu, w Kairze i Carogrodzie, za wielki jest brak wody by podobne pourządać żrzódła.

— Z Rossyi. —

Według interesującego opisu Petersburga i jego okolic, w dziele p. St. Maures: *„Rossyja jaką jest“* (Lipsk 1830) znajduje się w zamku ces. *Hermitage*, dotychczas w pokoju, w którym umarła ostatnia cesarzowa, książka otwarta w tém miejscu, gdzie ostatni raz spoczywały jéj już mgłą śmierci zachodzące oczy, pióro którem ostatni raz pisała, stół z papiérami, krzesło, słowem wszystko tak, jak było, zdaje się tylko jéj przybycia oczekiwać.

Niejaki p. Igierski w Petersburgu miał wynaleźć sposób kierowania balonu, i w umyslnym więc dziele wykłada swe sposoby publiczności.

— Z Niemiec. —

W Hamburgu drugiego lutego, o siódméj godzinie zrana, śród największego zimna, ukazała się tęcza jakby śród lata.

W Bremen publicznie teraz pokazują chłopca, który miasto włosów, okrytą ma głowę piórami bardzo podobnémi do bażantów. Ku jesieni, tak jak ptak, zrzuca piérze, a dotychczas ojciec jego prowadził bardzo korzystny handel témi piórami i to z wielkiém uradowaniem zbiorów historyi naturalnéj.

— Z Francyi. —

Pustelnia (*Hermitage*) leżąca w dolinie Montmorency koło Paryża, niegdyś przybytek Rousseau, dokąd niedawnémi czasy jeszcze tylu samotników i czułych samotniczek pielgrzymowało, ogłoszona została w dziennikach paryzkich na sprzedaż za 150.000 franków.

W Paryżu osobliwszy szermiérz produkuje się teraz publicznie. Jestto murzyn, którego obie ręce i prawa noga trzymają szpady, a którémi wszystkiémi trzema, z nadzwyczajną zgrabnością i szybkością dokazuje.

Pewien handlarz w Paryżu sprzedaje rzadki rodzaj złotego atramentu, który jest bardzo płynny i rzadki lustr posiada. Atrament ten bardzo odpowiadający jest na miłosne i inne eleganckie bileciki.

Podług obliczeń pewnego francuzkiego skoropisarza— może w zastosowaniu do ostatnich bezskutecznych rozpraw izb — mowca jest w stanie w godzinie około siedm tysięcy słów wymówić; zatem sto dwadzieścia w minucie a dwa na sekundę.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.